

Warszawa, dnia 24 Października / 5 Listopada 1870 roku.

№ 44. Cena w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop. 33¾). **Redakcja** w Warszawie przy ulicy Solnéj pod Nr. 715.—**Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka, ulica Senatorska Nr. 496, i tamże urządzona jest skrzynka na listy adresowane do Redakcji. *W Poznaniu* u **Leitgebera,** we *Lwowie* u **Wilda Karola,** w *Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza. Rok VI.

Drogi Postępu.

Mowa ludzka ten najdroższy posag, jakim natura obdarzyła jedynie tylko człowieka, jest najważniejszą przyczyną jego udoskonalenia czyli postępu. Wszystkie rodzaje zwierząt pozbawione są tego drogiego daru, udzielania swoich spostrzeżeń innym; głosy któremi wyrażają swoje uczucia, radość, ból, obawę lub nadzieję, są to tylko okrzyki, które wywołuje instynkt, zastępujący u nich rozum, ale nie mają żadnych wyrazów, za pomocą których mogłyby się porozumiewać, a tym sposobem ulepszać swoje położenie i działać dla swojego dobra (*). Ogromna wprawdzie zachodzi różnica pomiędzy zdolnościami rozmaitych rodzajów zwierząt, lecz chociaż jeden gatunek ich, np. bobry lub niektóre rodzaje ptaków, umieją piękniéj i wygodniéj zbudować gniazdo niżeli inne, albo łatwiéj nauczy się pies tego co mu pokazuje człowiek niżeli np. wół lub osieł, także pojętność niektórych psów wprowadza nas w zadziwienie, ale przymiotów tych nie może, nie mając mowy, przekazać swoim dzieciom i nauczyć ich tego, czego nauczył go człowiek. Umiejętność więc jego ginie razem z nim i dla tego psy, ptastwo i inne zwierzęta, są na tym samym stopniu ukształcenia, jak były przed tysiącem lat i takiemi na zawsze zostaną. Instynkt ich służy im tylko do wyszukania pokarmu, do zapewnienia bezpieczeństwa i wygody, ale nigdy do jakiegoś pomysłu nowego i ulepszonego, nigdy do żadnego wynalazku. Spojrzawszy np. na skrzętną jaskółkę lub wilgę, które tak misternie wykończają swoje gniazda, zasłaniają je daszkiem od deszczu, albo na delikatnisia wróbla, który wśród ciepłych pierzy umieszcza swoje pisklęta, widzimy, że przykładu z nich nie biorą inne rodzaje ptaków;


Młoda gosposia, kopja obrazu Haymana — (Strona 471-a).

(*) Innego jesteśmy cokolwiek w tym względzie zdania z autorem niniéjszego artykułu i dla tego zostawiamy sobie swobodę wyrzeczenia późniéj kilku słów o mowie i instynktach zwierząt, o ile na to zgodzili się dotąd uczeni badacze i naturaliści.

(*Przypisek Redakcji.*)

gniazda ich są zlepione innym im tylko właściwym sposobem bez wygód, wystawione na deszcze i wiatry, a takie same od stworzenia świata. Tym sposobem każde pokolenie zwierząt zajmuje to samo stanowisko w ogólnym porządku świata, które zajmowali jego poprzednicy i żadne pokolenie nie jest ani mędrsze ani ciemniejsze od tych, które były lub potem będą. Czyli, że pomiędzy niemi nie ma żadnego postępu.

Człowiek pod innemi jednakże stworzony jest warunkami. Bóg stworzył go na obraz i podobieństwo swoje, obdarzył go jakąś częścią duchowéj istoty swojéj, którą my nazywamy ludzką duszą; ta rządzi i kieruje czynnościami człowieka, odpowiada za nie w przyszłyści, kiedy ciało się rozsypie a ona powróci do świata duchowego. Człowiek posiada olbrzymie środki do powiększania swéj potęgi i uzacnienia, a jeżeli środków tych potrafi użyć właściwie, co chwila stawać się może mędrszym i zacniejszym i nie wyczerpie ich do końca swego życia. Co tutaj mówi się o jednostce, to samo stosuje się do całych narodów, całéj ludzkości. Narody, jeżeli okoliczności mają ku temu sprzyjające, wyrabiają co raz lepsze zwyczaje, tworzą coraz doskonalsze prawa i wolnym krokiem postępując na drodze postępu, zamieniają się z hordy nagich barbarzyńców w potężny i cywilizowany naród.

Bardzo nizko stałby człowiek, gdyby był pozbawiony sposobności udzielania drugim swoich spostrzeżeń, pomysłów i ulepszeń, jakich dostarcza rozum; udzielając je innym, one nie umierają samotnie, rodzą się w naszéj piersi, lecz stają się częścią zbioru ogólnych wiadomości i służebnicą całéj ludzkości, która znowu coś im dorzuca od siebie i tym sposobem tworzą się najmędrsze prawa, najwznioślejsze prawdy się zdobywają. Długa niezdolność dziecięcia do zdobycia sobie pokarmu bez pomocy rodziców, nakazuje mu pozostawać przy nich długie lata; zobopólne przywiązanie ukryte w łonie ich, tym sposobem rozrastając się, jeszcze mocniéj zacieśnia węzły wspólności; dziecko przejmuje od swoich rodziców to, co oni umieją i daléj to wydoskonala. Zgromadzenie takie nazywa się rodziną, kilka rodzin łączy się razem dla wzajemnéj obrony i pomocy i to jest pierwszy zawiązek towarzystwa ludzkiego.

Weźmy najniższy stopień ukształcenia ludzkiego, który mało się różni od trzody zwierząt, jakich nam hojnie dostarczą ludy np. Nowéj południowéj Walji. Ludy te nie używają żadnéj odzieży, nie budują żadnych mieszkań, a nawet nie znają sposobów polowania lub łowienia ryb; napotykane nieżywe węże, robaki, owady i w ogóle wszelkie padliny są ich pokarmem, a lubo znają ogień, przez tyle jednak wieków nie nauczyli się zagotować wody. Są jednakże jeszcze inne ludy, którym nawet użytek ognia jest zupełnie nie znany.

Człowiek atoli i z tego nędznego stanu co zdaje się nawet gorszym być od zwierzęcia, ma środki podniesienia się i używa ich jeżeli okoliczności są po temu.

Człowiek najprzód ulepsza to co mu się pokazuje najgwałtowniejszą potrzebą, zimno lub upał dokucza mu, więc buduje szałas z gałęzi, który się z czasem zmieni w pałac marmurowy wytwornéj architektury; głód dokucza—a grozi zwierzę drapieżne, wynajduje więc na nie broń, najprzód chwyta co natrafi pod ręką; kamień i drzewo stanowią maczugę, ta z czasem zamieni się w łuk, a następnie w strzelbę lub działo.

Następnie człowiek zaczyna hodować zwierzęta, z których ma pokarm lub okrycie, rośliny i drzewa sadzi skoro pozna ich własnosci i tym sposobem powstaje niepostrzeżenie pasterstwo, rolnictwo i przemysł wiodące do cywilizacji. A tak postępując wolno lecz ciągle, człowiek coraz nowemi zdobyczami wzbogaca następne pokolenia.

Kiedy kilka familji dzikich, osiędzie w jednym miejscu i połączy się wspólnością niejako interesu, zakładają wioskę, wybierają jednego z pomiędzy siebie, albo co pospoliciéj się trafia, sam się im narzuca na sędziego w czasie pokoju, na wodza w czasie wojny i oto jest zawiązek monarchicznego rządu. Bywają inne narody, u których wszystko stanowią starsi wybrani do rady, ci roztrzygają spory, wydają lub odpierają wojny i to jest początek rzeczy-pospolitéj. Jak w jednym tak w drugim wypadku, uderza nas to dobrowolne poddanie się pod pewne prawa, których potrzebę uznają.

Najprzód członkowie towarzystwa nie znają innych praw właśnie, jak tylko te, jakie im wskazuje przemoc, lecz wkrótce rozum uczy ich, że osoba, która łożyła trudy na zdobycie czegoś, nabywa prawo własności, które wynagradza jéj usiłowania, a ztąd wyradza się pojęcie, że ten co zasadził drzewo lub zasiał zboże, ma jedynie prawo do jego owoców. W podobny sposób rozumując, przychodzimy do przekonania, że i całe ludy mają swoje własności ziemi, które im tylko wydrzeć można. Jedną z najważniejszych zmian podzielenia ludzi na klassy towarzystwa, jest wprowadzenie w użycie pieniędzy.

W stanie pierwotnéj cywilizacji, każden członek społeczeństwa, zaopatruje własną pracą swoje potrzeby, on poluje dla pokarmu i odzieży, on kraje skórę na odzież i dom buduje, przeto on lepiéj lub gorzéj jest okryty lub nakarmiony stósownie do swoich zdolności i pracy, którą spotrzebował na swoją korzyść; a ponieważ jeden jest zręczniejszy do polowania, drugi do uprawiania gruntu, a inny do robienia domów lub butów, wypływa więc ztąd, że korzystniéj jest towarzystwu, kiedy każdy zajmuje się swoim przedmiotem; ale wypływa ztąd jako konieczność, że strzelec musi dać część swéj zwierzyny uprawiającemu grunta, jeżeli chce mieć zboże, tak rolnik jak i strzelec muszą dać część swéj produkcji temu, który dostarczy im obuwia i ztąd powstaje najwcześniejszy rodzaj handlu, którym jest zamiana.

Lecz z postępem czasu zamiana pokazała się niedostateczną i niedogodną, rolnik nie potrzebuje obuwia, gdy szewc potrzebuje zboża, albo szewc nie potrzebuje futer i zwierzyny, gdy strzelec potrzebuje obuwia; aby zaradzić temu, ludy wprowadziły w użycie rzecz nazwaną *pieniądze*, to jest wybrali jakieś szczególne ciała, które nie mają same przez się istotnéj wartości, a które jednak reprezentują wartości wszystkich przedmiotów: muszle, skóra pocięta, sukno lub żelazo, są używane przez różne ludy za pieniądze; lecz złoto i srebro przyjęte są na całym świecie. Ażeby lepiéj przedstwić wartość pieniędzy, przypuśćmy: że strzelec potrzebuje parę butów, a szewc nie potrzebuje zwierzyny lecz zboża, gdy rolnik nie potrzebuje obuwia, lecz potrzebuje innych towarów. Ci trzéj ludzie potrzebują każdy co innego, a zamia-

na im ich nie może dostarczyć. Pieniądz temu zaradza, myśliwy sprzedaje zwierzynę i kupuje buty, to samo robi szewc z butami, a rolnik ze zbożem i tak wszyscy zostają zadowoleni.

Wynalazek pieniędzy wpłynął na rozprzestrzenienie handlu; więcéj lub mniéj umiejętny ich obrót, robi człowieka właścicielem większéj lub mniejszéj summy i tym sposobem pomału tworzą się stany. Bogaci najmują biednych do pracy za siebie, biedni przyjmując zapłatę, należą do stanu ciągłych najemników.

Jakkolwiek powiedzieliśmy, że mowa jest najważniejszą przyczyną postępu, jednakże, gdyby on zależał tylko na ustnem podaniu, natrafiłby na wszelkie przeszkody i niedogodności; pismo jedno, które przechowuje podanie wiernie następnym pokoleniom. Za pomocą pisma ludzkość zabezpieczyła się od wpadnięcia w stan ciemnoty. Państwo Rzymskie rozszarpane zostało przez barbarzyńców, lecz przechowały się dzieła klassyczne pisarzy wielkich i dziś dają nam wiadomość o całem życiu tego olbrzymiego narodu. Bez pisma, żaden naród nie może zrobić wielkich postępów.

Drugi równie ważny wynalazek XV-go wieku jest druk, ten uczynił przystępnym wszystkim to, co było tylko zawarte w kosztownych rękopismach, przechowujących się w niewielu egzemplarzach. Ileż czasu, ileż trudów potrzeba było łożyć dla przekopijowania jednego rękopismu, ileż omyłek, albo umyślnych błędów wkradło się tam stósownie do woli przepisującego; rękopism tak przekopijowany był niezmiernie wysokiéj ceny, mógł więc być tylko przystępny bogatym i spoczywał pospolicie butwiejąc w księgozbiorach klasztornych.

Wynalazek druku raz na zawsze zabezpieczył ludzkość od wpadnięcia w stan barbarzyński, pomimo wszystkich wpływów jakie ją przyciskać mogą, pomimo wrzystkich przemian jakie mogą nastąpić. Duch ludzki wyzwolony został z więzów krępujących go dotąd wzniosłemi prawdami ogłoszonemi przez ewangelję; prawdy te upowszechnione drukiem, zakołatały do miljonów serc, wyrwały z nich barbarzyństwo i pokazały ludzkości nowe cele; postęp wtenczas zrobił olbrzymi krok naprzód, krok, którego wszystkie usiłowania duchów wsteczności zatrzymać nie potrafiły; ludzkość znalazła się już na właściwéj sobie drodze i odtąd mając już cel wytknięty, wyraźny i środki dojścia do tego celu, idzie doń nieprzerwanie, chociaż tysiące przeszkód ma do zwalczenia.

Ludzkość nie popadnie już w barbarzyństwo, może się chwilowo zatrzymywać w drodze swojego postępu, ażeby otrzeć krwawy pot trudu, ale po takiem zatrzymaniu, zdobycze jéj będą tem większe. „Bo światło prawdy świeci przed nią, a jego nie potrafią zagasić ciemności.“

Jan Kontrymowicz.

MŁODA GOSPOSIA

Przy ojcu, przy matce,
Roskosznie jak w Niebie,
Lecz milej w swéj chatce,
U siebie, u siebie.
Tu luby wybraniec
Całuje w uśmiechu,
Jak Niebios posłaniec,
Bez grzechu, bez grzechu.
Tu zawsze w miłości,
Oplatam mu szyję,
A serce z radości —
Aż bije, aż bije!
Tu słowem, spojrzeniem,
Mrok pierzcha nam z czoła,
Bo jestem pod cieniem
Anioła, anioła.
Tu on mnie swą zowie
Królową i panią,
Tu życie, tu zdrowie,
Tu kolce nie ranią.
Tu z brzaskiem jutrzenki,
Do zmroku, do rosy,
Nucę mu piosenki,
W niebiosy, w niebiosy.
Tu gram mu i czytam,
I tańczę jak płocha,
Szczebiocę i pytam,
Czy kocha, czy kocha.
A kiedy bieluchne
Rękawki zawinę,
Jak kocham matuchnę,
Gosposi mam minę.
Więc kraję i warzę,
Łakocie gotuję,
A on mnie znów w darze,
Całuje, całuje.
W doniczkach mam kwiaty,
A w klatce śpiewaka;
Ej, filut skrzydlaty,
Ma duszę nie ptaka!
Za cukier, za wodę,
Umizga się do mnie;
A takie to młode...
Nieskromnie—nieskromnie....
Dziś, mogę darować,
Lecz mówię ptaszkowi,
Nie trzeba całować,
Bo powiem mężowi...

Franciszek Gumowski.

DZIECI STEPÓW,

POWIASTKA

Jana Prusinowskiego.

(Ciąg dalszy, patrz Nr. 42-gi).

* * *

Przeszło znowuż lat kilka. Pomyślność lała się oknami i drzwiami szczęśliwéj parze. Chudoba nigdy im nie odpadła, handel solą szedł wybornie, a czworo dzieci, dwóch chłopców i dwie dzieweczki, z rumianemi twarzyczkami i jasno blond włosem, biegały, jak krasne, pozłocone jabłuszka.....

Aż pewnego wieczoru, w późną jesień, podczas szkaradnéj ulewy, stanął przed chatą Hryćka, ślepy stary lirnik, z małym chłopcem, który mu za *powodyra* służył. Hanna, nie tyle z miłosierdzia i litości, czem przy swojem szczęściu nie odznaczała się wcale, ile dla zabawy własnéj i dzieci, przywołała lirnika i zaprosiła na przenocunek. Ślepiec śpiewał im pieśń o *Biedzie*, o Ś-ym Mikołaju i Boga-Rodzicy, a potem dziwne opowiadał baśnie, o czem słyszał i nasłuchał się od ludzi, włócząc się po świecie. W końcu wygadał się, że za młodu, zanim mu tata-

rzyn wysmalił oczy strzałem z janczarki, był siczowym kozakiem w jednéj chorągwi z wielkim swoim przyjacielem, któremu na imię było Stepan i który wzbogaciwszy się na rabunku w Krymie, ożenił się z piękną Laszką odbitą z niewoli, że miał z nią córkę, ale gdy mu żona umarła, zabrał dziecię i osiadł na spokojnéj Ukrainie, gdzie założył pasiekę i miód sycił...

Na tę rozmowę wpadł lirnik, szczęśliwym trafem, dopiero po wieczerzy, gdy już w izbie nie było nikogo oprócz Hanny i Hryćka, którzy jak możemy sądzić, zainteresowali się niemało tem opowiadaniem.

— „To chyba widywaliście go i potem, gdy osiadł na futorze, — zapytała ciekawie Hanna — kiedy wiecie, co się z nim działo po wypisaniu się z Siczy?"

— „A jakże! i nieraz! odpowiedział lirnik. Przychodziłem umyślnie do Ławy Peczerskiéj, w tym czasie, kiedy bywało przywoził miód i wosk do monasteru... Ale już coś lat z dziesięć, czy więcéj, jak mnie nie zaczepia, chociaż zawsze w tym czasie jestem w Kijowie i siadam w jednéj i téj samej nawie cerkwi, żeby mógł mnie znaleźć... Musiał stary pójść do *domowyny*, (do trumny) — a szkoda — bo coś mi takiego powiedział, co mi się ze ślepemi oczami, na nic nie przyda..."

— „A cóż to wam powiedział? — znowu skwapliwie zapytała Hanna."

— „Ah! stary, nie lubił gadać z ludźmi, a znać potrzebował przed kimś się wygadać, ktoby go nie mógł zdradzić, choćby chciał... Nie powiedział mi wioski około któréj kupił futor, a bez tego: *Ryba w wodi, taj jisty hodi!*"

— „Cóż bo to on wam powiedział — wyjąkała Hanna z cicha, jakby zadyszana przyśpieszonym z niecierpliwości oddechem."

— „Na co się to wam przyda! — odrzekł obojętnie lirnik."

— „Na to, na co i wam — ciągnęła Hanna z udanem lekceważeniem, żeby sobie pogawędzić, a ciekawych rzeczy się nasłuchać, kiedy spać się nie chce... Powiedźcie nam, rozpowiedźcie panie lirnik! A może jeszcze czarkę wódki — nie — może lepiéj lampeczkę starego miodu, to krew ogrzewa..." i nie czekając odpowiedzi, pobiegła do lochu, przyniosła kufel miodu, częstując nim lirnika.

Stary pokosztował — pokiwał głową i mówił jakby do siebie: „dobry — doskonały! taki, taki samiutki, a może i lepszy, bo starszy od tego, którym mnie bywało Stepan częstował, zawoławszy cichaczem do swojéj kwatery... i ciągnął głośniéj, zwracając się do gospodarzy:

— „To już jak chcecie, byle co słuchać, to wam powiem... Żal tylko, że za taki traktament będę wam prawił, jak o żelaznym wilku... Słuchajcie."

„Razem z nami na Siczy, był jeden kozak dworski, który uciekł do nas z małym synkiem, zabiwszy żonę... Wielki to grzech — to prawda — ale podobno i żona była ladaco... Żałował on swego grzechu i chciał zginąć, ale kule i szable odskakiwały od niego jak od żelaza... Kiedy ja poszedłem na lirnika, a Stepan z piękną branką swoją zamyślił się żenić, nie chciał zostać przy rzemiośle, które mu śmierci nie dawało i zabrawszy z sobą syna został cmentarnikiem w jakiemś miasteczku, gdzie był Stepan z żoną zamieszkał. Kiedy zaś po jéj śmierci wymandrował szukać sobie innego miejsca, nasz *czerwony wdowiec*, jakeśmy go nazywali w Siczy, został przy cmentarzu. Niebardzo tu słyszę było daleko od futoru Stepana, widywali się więc kiedy niekiedy i kiedy Stepan wyjeżdżał z domu z swoim towarem, czerwony wdowiec, przychodził na stróża jego dobytku... a syna, zostawiał na swoje miejsce do kopania grobów i stróżowania umarłych..."

Hanna zaczerwieniła się, bo przypomniała sobie tego strasznego starca, którego ojciec dawał jéj za niańkę i po raz pierwszy dowiedziała się, że Omelko był jego synem... Ale żywa prawda biła z tego opowiadania, słuchała więc tem pilniéj, gdy Hryćko trochę znudzony, począł ziewać i drzemać.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

JAN TURGENIEW.

„I Cycero przyjaciel, i Platon przyjaciel, lecz większy przyjaciel, prawda."

Utwory literackie Turgeniewa w znacznéj części znane są prawie całéj ucywilizowanéj społeczności europejskiéj, obecnie zaś w tłómaczeniach albo już wychodzą, albo są zapowiedziane niektóre z dzieł tego znakomitego powieściopisarza i w naszem piśmiennictwie.

Turgeniew z powołania jest myślicielem, w wykładzie satyrykiem, w zasadach moralistą praktycznym, w życiu, człowiekiem dobréj woli, w rodzimem społeczeństwie, postępowym patrjotą-tolerantem. Z tego ostatniego stanowiska badany, zasługuje na szczególną uwagę, jako mąż odwagi cywilnéj niepospolitéj, co z narażeniem własnéj popularności, nie waha się prawdę bodajby najprzykrzejszą swym rodakom głosić, nie zniżając się nigdy do schlebiania ludziom lub namiętnościom, które nimi miotają. Wzrok jego sięga daleko w przyszłość, wyższym też będąc nad wszelkie osobiste widoki, przemawia tak jak mu rozum i sumienie dyktują, ale nigdy tak, jak podmuchy okolicznościowe eksploatatorom łatwowierności publicznéj doradzają.

Dla tego też utwory jego, na rodzinnéj ich niwie, spotykały w początkach zjadliwą napaść zoilów i przez ciąg dwudziestu lat z górą, wypracowywały sobie to uznanie, którem się teraz cieszą i które do lat potomnych przejdzie potężniejąc, w miarę lepszego zrozumienia ważności ich przez czytelników.

Zoile potępiali utwory Turgeniewa szarpiąc nieraz i samego człowieka, a publika tymczasem na przekor zoilom coraz więcéj czytała je, oceniała i uznawała; głos zoilów jak każdy wrzask namiętności wyszumiał i zamilkł, a utwory nie tylko potępione przez krytykę literacką, ale poddawane nieraz ostracyzmowi potęg społecznych, dziś spokojnie kursują w licznych edycjach, zadając fałsz krytyce, co głosiła je kiedyś za niebezpieczne i fatalnych skutków kreacje literackie.

Zdrowy rozsądek czytającéj publiki, może na chwilę da się otumanić sofizmatami krytyki, zwłaszcza jeżeli ona nie mogąc poniżyć dzieła, denuncjuje intencje autora, ale złudzenie trwa krótko, bo rozsądek ów ochłonąwszy z pierwszego wrażenia sprawionego wrzaskiem krzykaczy, ocenia wartość potępionego płodu nie wedle pokątnych insynuacji oskarżycieli, ale wedle ważności prawd i światła występujących w kreacji na poparcie wywodów.

Turgeniew swemi powieściami, większą klęskę zadał doktrynerom swéj ojczyzny, głoszącym wiele

rzeczy a priori, które w rzeczywistości były utopją, lub szkodliwą mrzonką, niżby tego potrafił dokazać najbieglejszy adwokat, władający po mistrzowsku obosieczną djalektyką.

Jakim jest Turgeniew człowiekiem i pisarzem, najlepiéj wedle naszego przekonania maluje przedmowa, jaką on dał na czele drugiéj edycji, powieści swéj noszącéj tytuł „Dym.“

Oto są słowa téj przedmowy, warte uważnego zaiste zgłębienia:

„Ze względu wielu narzekań na jakie wystawioną była powieść „Dym,“ niektórzy z przyjaciół autora (Turgeniew mówi w trzeciéj osobie), radzili mu, opatrzyć nowe jéj wydanie przedmową, wyjaśniającą wynikłe nieporozumienia. Lecz autor po dojrzałym namyśle, nie znalazł zasady do zadośćuczynienia tym głosom, gdyż podobne objaśnienia, zawsze zakrawają na ekskuzę, a usprawiedliwiać się nie widzi potrzeby, gdyż nie poczuwa się do żadnéj winy. Nadto, żadne dowody nie zmienią przekonania tych, co nie chcą lub nie umieją uznać myśli, służącéj za tło charakteru Potugina (figura powieści „Dym“) osoby, która więcéj od wszystkich innych obraziła uczucia patriotyczne publiki, niechaj figura ta sama za siebie przemawia. Autor zaś poprzestał na dodaniu jéj kilku charakterystycznych rysów, dobitniéj jeszcze uwydatniających znaczenie jéj, istotę i sens.

Odpowiadać zaś na zarzuty o odstępstwo, potwarz i zaślepioną nieznajomość Rosji i t. p., autor rozumie się, ani myśli.“

Turgeniew kończy tę przedmowę wyznaniem, że cieszy się z tego, że dzieło te czytają i spodziewa się, że przyniesie ono pożytek pomimo swe wady.

Otóż trzeba wiedzieć o tem, że autor „Dymu“ walczy w tem dziele przeciwko uprzedzonemu patriotyzmowi tych, co wszelkie doskonałości upatrują we własnéj swojskości, nie dla tego żeby chciał ją poniżyć i odrzeć ją z wszelkich zalet, ale dla tego, że w uprzedzeniu tem widzi zaporę stawioną prawdziwemu postępowi. Boć jasną jest rzeczą, że ten, kto poczytuje się za doskonałego, przestaje myśleć o doskonaleniu się, a kto nie posuwa się naprzód, cofa się, bo inni go wyprzedzają.

Do wystąpienia takiego, wbrew zdaniu tych, że wszystko co swojskie jest wyborne, a co obce, godne śmiechu i wzgardy—zdaniu schlebiającemu miernościom umysłowym, lenistwu, próżności i zaślepieniu, a zatem zdaniu większości danego społeczeństwa, jest to nietylko odwaga, ale i poświęcenie się, bo wystąpienie takie, zazwyczaj wywołuje alarm w szeregach zapaleńców i walkę na życie i śmierć.

Turgeniew jak widzimy miał tę odwagę, nie cofnął się przed takiem poświęceniem się, nie zeszedł ze stanowiska wśród téj walki i wyszedł zwycięzko. Czytają go chciwie, czytają coraz więcéj i coraz lepiéj go rozumieją. Taki tryumf nie każdemu autorowi walczącemu piórem za ideę, się zdarza. Turgeniew należy do szczęśliwych, zwyciężył swych przeciwników za życia. Ale owoce tego zwycięztwa, dopiero potomność będzie zbierać. Plony dopiero kiełkować zaczęły.

Człowieczeństwo najpierw oceniło wartość ziarna zasiewanego przez autora „Dymu,“ a rodacy jego



Pasiecznik. — (Strona 449-a № 41-y Opiekuna).

w obec takiego uznania, poczynają mu składać dank coraz śmieléj i szczerzéj. Idea zdrowa, żywotna, oparta na rozumie i sumieniu, prędzéj czy późniéj musi tryumfować nad doktryną, obmyślaną na efekt i w celach osobistych korzyści, krzewioną.

(*Dokończenie nastąpi*).

AGRYPINA.

(Dokończenie, patrz Nr. 42-gi).

Tam to wyszła na jaw owa okropność, o któréj mówimy. Jeden z podwładnych mu dowódzców rzymskich Pizon, rozpoczął z Germanikiem rozmaite spory, które przeszły w gwałtowną nienawiść bez żadnéj widocznéj przyczyny. Był on jakby jego cieniem, wszędzie mu wchodził w drogę, co tembardziéj dziwiło Germanika, że zuchwalstwo to zwiększało się w miarę tryumfów, jakie on odnosił nad nieprzyjaciołmi.

W toku tych niesnasek, Germanik zachorował. Tu błysnęła mu myśl, że nikt inny jak tylko Pizon sprowadził nań tę chorobę przez zadanie mu trucizny. Okryty laurami, w pełni życia, przy łonie pięknéj małżonki, ujrzał się młody bohater na progu śmierci. Nie lękał on się zgonu, bo już w tylu wyprawach dowiódł odwagi i dzielności duszy, ale nie mógł przenieść na sobie, że stał się ofiarą podłego zbójcy, że musi porzucić na smutne losy wdowieństwa tę, która nie wachała się iść za nim wiecznie i wszędzie, na boje, w dalekie ziemie, w dzikie pustynie, która pięknością swoją rozjaśniała mu pełne znojów życie obozowe. Tą bolesną przejęty myślą Germanik, czując zbliżającą się godzinę śmierci, zwołał do swego łoża żonę, dzieci i życzliwych. Przedstawił przyjaciołom okropność swego położenia i okropność zbrodni, wskazał im żonę i dzieci, domagając się od nich aby pomścili zgon niewinny i wyraźnie wymieniał Pizona jako sprawcę téj zbrodni; potem zobowiązał ich aby nie ograniczali się próżnym i bezużytecznym żalem, lecz zanieśli swoje skargi aż do Rzymu. Przyjaciele jego przyrzekli mu to wszystko i tak skonał na ich rękach bohater, co rozniósł sławę imienia rzymskiego na wschód i zachód państwa, co był dzielną jego podporą! Nie wiedział atoli nieszczęśliwy, że śmiałość i zbrodnia Pizona miały poparcie tam właśnie, gdzie on posyłał swych przyjaciół i wdowę, w Rzymie, w osobie samego Tyberjusza, o czem się zaraz przekonamy.

Żona Germanika po uroczystem spaleniu zwłok męża, zamknęła jego popioły w złotéj urnie, wykradła się z miejsca śmierci i pomimo zasadzek, zastawianych z polecenia Pizona, przybyła morzem do Italji. Nim ukazała się w Rzymie, już wieść o jéj wylądowaniu rozbiegła się po obszarach wiecznego miasta. Pamiętny tylu usług, tryumfów i cnót młodego bohatera, lud rzymski wylał się jak fale morza na miejsce, ku któremu w żałobnem ubraniu, z urną kryjącą szczątki męża, zbliżała się nieszczęśliwa. Odprowadzono ją przy niesłychanym zapale i groźnych okrzykach powszechnego żalu aż do Tyberjusza, od którego domagano się sprawiedliwości. Ten, widząc co się dzieje, przyjął Agrypinę pozornie z wielką życzliwością i współczuciem. To, czego się lud sam przez się domagał, wypowiedziała Agrypina chytremu Tyberjuszowi. Błagała go o ukaranie zabójców męża, o ścisłe zbadanie sprawy. Przyrzekł jéj to wszystko i obiecał wymierzyć sprawiedliwość.

Jakoż rozkazał, aby się zajęto skargą rozpaczającéj wdowy. Lecz jakże sprawa mogła się wyświecić, kiedy Pizon na mocy własnoręcznych listów Tyberjusza działał na zgubę Germanika? Zaczął więc Tyberjusz od tego, że postarał się, o odzyskanie na powrót tych listów, a odzyskawszy te dowody swojéj zbrodni kazał zabić Pizona, który w gwałtownéj śmierci, otrzymał nagrodę za haniebną usługę, wyświadczoną swemu panu.

Po śmierci Pizona cała sprawa została zatartą i Agrypina z dziećmi swemi zamieszkała w Rzymie. Jedno z tych dzieci, to jest najmłodszy syn Cajus, panował po śmierci Tyberjusza, pod imieniem Kaliguli.

Ale, nie tu koniec cierpień nieszczęśliwéj wdowy. Dumna sławą swego małżonka i współczuciem ludu, którego tak świetne otrzymała dowody przy powrocie do Rzymu, Agrypina okazywała pewną niezależność i niechęć względem Tyberjusza, który mszcząc się za to, przedewszystkiem uniewinnił pamięć Pizona, aby tym sposobem odjąć wdowie Germanika cały urok niezasłużonéj niedoli.

Dalsza niechęć między nią i Tyberjuszem rozwijała się już ciągle i coraz widoczniéj. Gdy krewna jéj Klaudja Pulcherja została o coś obwinioną, a Agrypina prosiła go o łaskę dla niéj, Tyberjusz okazał się więcej niż obojętnym. Potem rozpuszczał rozmaite wieści, uwłaczające czystym obyczajom wdowy. Skutkiem tego prześladowana niewiasta, czy to pragnąc zagłuszyć złe języki, czy też chcąc rzeczywiście wyjść za mąż, prosiła go aby na to zezwolił; ale i tu zła wola Tyberjusza wzięła górę, bo pod pozorem, że mu przeszkodziła przyszedłszy do niego w chwili kiedy składał jakiemuś bóstwu ofiarę, odmówił jéj prośbie.

Nareszcie doszło do tego, że obawiając się losu swego męża, na pewnéj uczcie u Tyberjusza odmówiła owoców podanych jéj przez niego.

Wkrótce potem Tyberjusz usunął się na wyspę Kapreę, gdzie znajdowały się rozkoszne pałace i gdzie wielu z Cezarów Rzymskich oddawało się miękkiemu próżnowaniu i rozpuście. Rzymem i prawie całem państwem zaczął wtedy rządzić ulubieniec cesarza Sejan, dla którego już żona Druzusa zamordowała swego męża.

Sejan, przy rozległéj władzy jaką posiadał, chcąc dogodzić Tyberjuszowi, zaczął prześladować Agrypinę na własną rękę i jak przedtem pan jego, tak on teraz obwinił ją o rozpustę. Agrypina tak była *lubianą* i szanowaną, że lud znowu ujął się za nią i głośno domagał się jéj uniewinnienia, jakoż Sejan obawiając się niebezpiecznych następstw, uległ téj woli ludu.

Dowiedział się o tem Tyberjusz i kazał przedstawić sobie sprawę, a nie wiedząc niby o niewinności Agrypiny, chciał aby rzecz pozostawiono jego wspaniałomyślności. Wspaniałomyślność okazał on tym sposobem, że wydał na wdowę wyrok wygnania na wyspę odludną w pobliżu Neapolu.

Kiedy ją tam odwieziono, tak ciężko skrzywdzona matka i kobieta, napisała do Tyberjusza list, w którym mu śmiało wytknęła jego postępowanie. Tyberjusz skazał ją po tym liście na chłostę, któréj nie chcąc się poddać i broniąc się rozpaczliwie, straciła jedno oko.

Po tak okropnéj napaści żyć już nie chciała. Ona, pierwsza w państwie niewiasta, została shańbioną jak ostatnia zbrodniarka. Nie mogąc już patrzeć na ten świat, który ją niegdyś widział przy boku bohaterskiego Germanika, postanowiła umrzeć z głodu, gdy jéj odebrano inne środki pozbawienia się życia. Aby i tego nie dopuścić, gwałtem wlewano jéj pożywienie w usta; ale to nie skutkowało i po długich męczarniach, wyzionęła ducha w 33 roku życia.

Tak smutne losy natchnęły rzeźbiarza do uwiecznienia jéj rysów; przyćmiewa je zasłona z pod któréj jednak wygląda smutek i gorycz, wygląda boleść i dzisiaj po dziewiętnastu blisko wiekach przemawiająca do naszego serca. Wszelka boleść ludzka zawsze przez ludzi pojętą być może, bo zmieniają się czasy, lecz dusza cierpi jednakowo, a podeptana godność naszéj istoty, zawsze jednakie myśli obudza.

Józef z Mazowsza.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Didier, dramat w 3-ch aktach, Piotra Berton.

Nie dawno, bo zaledwie miesiąc temu, pojawił się na scenie naszego Teatru Rozmaitości nowy spolszczony dramat p. t. „Didier.“

Nowość zawsze wabi; to też cała sala była od szczytu aż do dołu jak nabita widzami, z których jedni, przybyli dla obznajmienia się z nowością, drudzy z nałogu, tak samo, jak idą dla zabicia czasu na „Icka Zapieczętowanego,“ lub na „Rendez-vous,“ mające się urzeczywistnić w jednym z okolających teatra zakładów gastronomicznych, inni wreszcie, których pióro nasze, przez skromność, bo sami chcielibyśmy się liczyć w ich rzędzie, na ostatniem postawiło miejscu teatru, dla rzeczywistego ocenienia nowości i dla złożenia oznak naszego uwielbienia ulubionym artystom, przyjmującym udział w przedstawieniu. Jakoż, wyznać należy, że jak zawsze, tak i tym razem, artyści nasi pierwszorzędni, pani Bakałowicz i pan Królikowski czynili wszystko czem tylko ich znakomite talenta, natchnąć ich mogą, by dramatowi jak najświetniejsze zapewnić powodzenie; ale pomimo wszelkich wysileń, cel ten w części tylko osiągnąć zdołali; gdyż, mimo wielu scen prawdziwie po mistrzowsku oddanych, całość dzieła grzeszy jakąś nieharmonją, widocznem nieprawdopodobieństwem, tak niezbędnemi do wywołania pożądanego effektu.

Oto jest treść dramatu: Czterdziesto-ośmio-letni Didier, człowiek głębokiéj nauki, poświęcający się specjalnie i z zapałem chemji, nad którą od lat młodzieńczych niezmordowanie pracuje, obojętny na wszystko co po za obrębem jego nauki leży i żyjący w swojem chemicznem labolatorjum, wyłącznie dla saméj tylko nauki, zimny dotąd jak bryła lodu, rozgorzał przy schyłku prawie życia nieznanem mu dotąd uczuciem wielkiéj miłości dla młodziutkiéj Łucji, córki swego przyjaciela Jakóba Rémont. Walczył on długo z tą nową dla siebie namiętnością, lecz ośmielony nareszcie jawną życzliwością przyjaciela, oświadcza się o rękę jego córki, która nie wiedząc o tem wcale, udaje się doń z zaufaniem dziecięcia, które się niemal pod jego okiem wychowało, które on nie raz na swem ręku piastował i wyznaje mu swą miłość dla Henryka, młodego, zdolnego doktora, ale ubogiego, a co gorsza, sieroty bez nazwiska, prosząc go o poparcie, gdyż ojciec odmówił mu stanowczo jéj ręki. Tu zaczyna się straszna, ciężka próba dla rozkochanego, sędziwego chemika, bo szlachetna walka z uczuciem, stanowiącem jedyne jego szczęście. Didier wychodzi z téj próby i walki wewnętrznéj zwycięzko, postanowił bowiem kosztem najboleśniejszych dla swego serca ofiar, ułatwić związek dwojga kochanków, przyznać Henryka za swego syna i zapisać mu własny, znaczny majątek. W chwili uroczystego spełnienia tego dobroczynnego aktu i w obec ojca Łucji, na widok uszczęśliwionych takim zwrotem rzeczy poufnie i serdecznie rozmawiających z sobą kochanków, Didier, mimo powierzchownych oznak najszczerszego zadowolenia, miotany zazdrością przy podpisaniu aktu ślubnego, nie mogąc już dłużéj być panem siebie, rzuca się przed Łucją na kolana, w pomięszaniu zmysłów wyznaje jéj swą miłość i nareszcie pada bezprzytomny u stóp ukochanéj przez siebie dziewicy. Ile nieprawdopodobieństwa, ile nienaturalności jest w tem całem namiętnem rozkochaniu się 48-letniego człowieka, ile fałszu w tem nagłem obłąkaniu męża uczonego, który blisko przez pół wieku zawsze najlogiczniéj na wytkniętéj przez siebie drodze postępował, to już każdy z najmniéj nawet znających tajniki serca ludzkiego spektatorów, sam ocenić potrafi.

To, cośmy dotąd opisali, dzieje się w dwóch pierwszych aktach. Trzeci, jest już tylko lichem dopełnieniem zamiarów autora, utworzenia trzech-aktowego dramatu. W nim bowiem akcja słabnie widocznie. Didier obłąkany, a pielęgnowany starannie przez Łucję i jéj ojca, staje się tylko jakimś automatem, niepomnym własnych uczuć, a przypominającym sobie zazdrośnie miłość Łucji i Henryka. Objaw ten jest najzupełniéj sprzecznym z naturą człowieka, który nawet w obłąkaniu nie traci z pamięci tych uczuć, które jego nieszczęście wywołały. Jednakże, Didier chory, a niby to przytomny, zawsze pod czułą opieką Łucji i jéj ojca, ujęty poświęceniem się obojga i usunięciem dla jego spokojności Henryka, wraca niespodziewanie do zmysłów i serdecznym wykrzykiem do Łucji zwróconym: „*kocham cię..... jak ojciec!*“ uwieńcza dramat błogosławieństwem związku małżeńskiego dla obojga, młodych kochanków.

Mimo niektórych pojedynczych, umiejętnie przez autora nakreślonych scen, które artyści nasi tak cudnie oddają, pojmując rozumem i wspierając talentem swoim jego intencje, powtarzamy że wadliwa całość tego dramatycznego utworu pana Berton, nie przedstawia nam żadnéj rękojmi długiego i świetnego powodzenia jego na scenie tutejszéj.

Oskar Stanisławski.

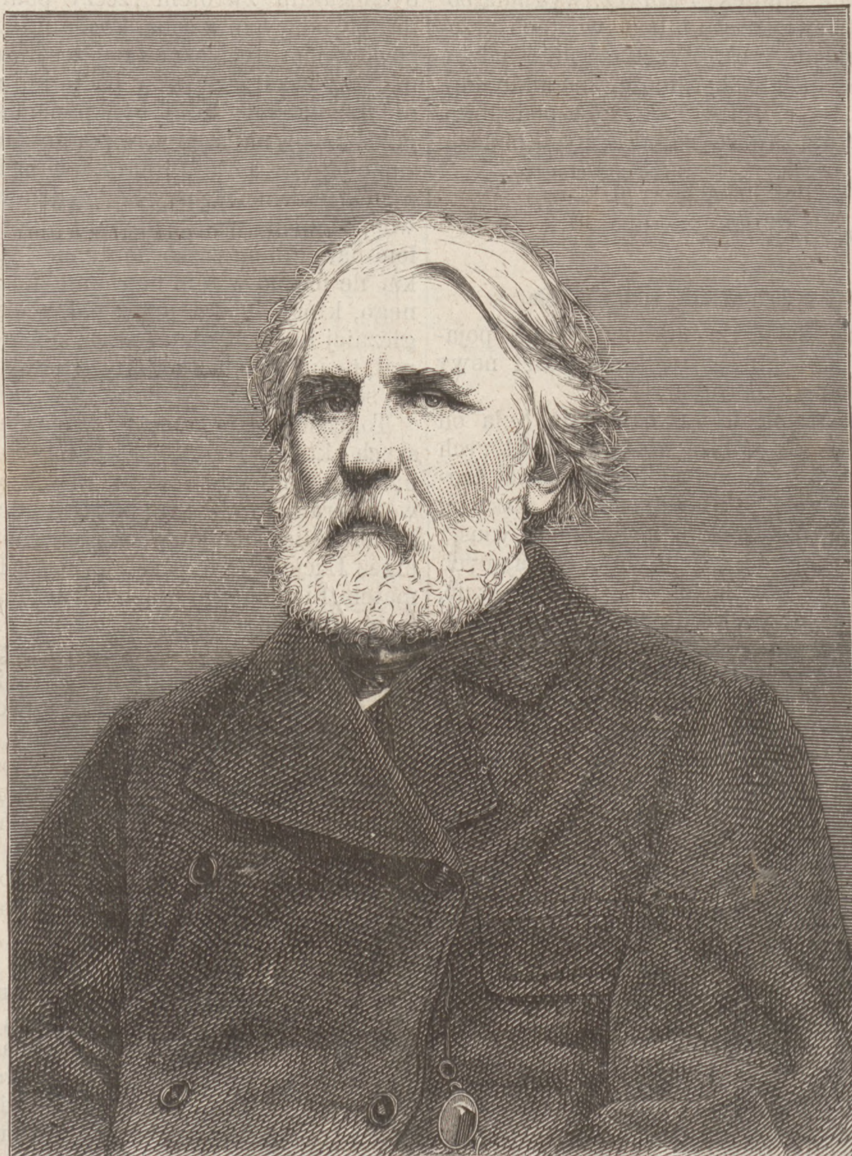
Wiadomości Techniczne.

— **Jajko olbrzymiéj wielkości.** Na Wielkanoc można zrobić ten żarcik i nieświadomych w podziwienie wprawić. W tym celu wybija się upodobana ilość jaj; im więcéj, tem lepiej, bo sztuczne jajko będzie większe. Żółtka utarte wlewają się do okrągłego woreczka z cienkiego płótna i wstawiają do wrzącéj wody, w któréj gotują się tak długo, dopóki zupełnie nie stwardnieją. Następnie woreczek się rozpruwa i ostróżnie wyjmuje ugotowane żółtko. Potem do nieco podłużnego ale także okrągło uszytego woreczka wlewają się białka, w pośród których umieszcza się na nitce ugotowane żółtko i znów w kipiątku gotuje; poczem nitkę się

wyciąga, a olbrzymie jajko umieszcza pomiędzy zwyczajnemi śród święconego.

ROZMAITOŚCI.

— **Święty Mikołaj swatem.** Słyszeliśmy już o niejednym przypadku, który skojarzył małżeństwo, ale ten, który opowiedzić zamyślamy, jest całkiem nowym w swoim rodzaju. Lud francuzki uważa św. Mikołaja za patrona i kojarzyciela wszystkich małżeństw i młodzież tamtejsza, a szczególnie dziewczęta, uciekają się zawsze do jego protekcji. Dla tegoteż i piękna Annetka z czarnemi, błyszczącemi oczyma, z kantonu Montrenil, sprawiła sobie ładną statuetkę św. Mikołaja z gipsu i modliła się bardzo gorąco do niéj. Ale modły te nic jakoś nie skutkowały; chłopcy mieli serca jak z głazu, a upragniony małżonek nie pojawiał się. W końcu, zniecierpliwiło to już dziewczynę; zwątpiła o cudownéj władzy św. Mikołaja i pewnego pięknego poranku wyrzuciła z gniewem jego statuę przez okno. Zuchwałość ta jednakże nie uszła jéj bezkarnie; św. Mikołaj zemścił się za tę zniewagę, a zemścił prawdziwie godnie jak na Świętego. Wyrzucona statua spadła na głowę młodzieńcowi imieniem Reymond, który właśnie przechodził tamtędy i oburzony tem chłopak zaniósł skargę do sądu. Z niesłychaną trwogą stawiła się Anneta przed sędzią pokoju, oskarżyciel i oskarżona spojrzeli sobie w oczy. Ale rzecz dziwna! na widok pięknéj winowajczyni, ostygł gniew Reymonda zupełnie, zapomniał o jéj zamachu na swoje dwudziestoletnie życie i cofnął swoją skargą. Obie strony sporne wracały potem razem do wsi; co mówiły z sobą przez drogę, trudno wiedzieć, ale to pewna, że przybyły do wsi ręka w rękę, szepcząc bardzo czule. We trzy tygodnie potem czytano zapowiedzie Reymonda i Annety, a w ośm dni późniéj odbyło się ich wesele. Tak więc ocalił św. Mikołaj swoją sławę, chociaż sposobem nieco drażliwym, a rówienniczki Annety modlą się teraz jeszcze goręcéj do tego patrona.



Jan Turgeniew. — (Strona 472-ga).

Korrespondencja od Redakcji.

— Panu **A. W.** z Warszawy. Dziwisz się Pan zdaniu wyrzeczonemu w Nr. 238-m z r. b. *Kurjera Warszawskiego* o ujemnéj jakoby wartości drzeworytów pomieszczonych w Numerze 42-m Opiekuna Domowego z r. b. nazywając zdanie to, niesprawiedliwem i pozbawionem zdrowéj logiki. My więcéj Panu powiedzieć możemy. Zdanie Redaktora „Kurjera Warszawskiego" i zarazem Kronikarza „*Tygodnika illustrowanego*" jest zdaniem stronnem, boć zauważ Pan: że *Opiekun Domowy*, za sam zamiar powiększenia formatu do rozmiaru większych pism illustrowanych, z góry potępiony być musi przez adherentów tychże wydawnictw. To rzecz najprostsza, a czy sumienna? niech ogół odpowie.

Trzeba poniżyć przeciwnika, znaleść czarne plamy; więc drzeworyt professorów Marymontu, rysowany przez Polkowskiego malarza, znanego z talentu i wycięty na drzewie przez najzdolniejszego drzewory tnika z pracowni „Tygodnika illustrowanego," obecnie w opinji p. Wacława *Szymanowskiego* jest bohomazem—bez względu na to: że tenże sam drzeworyt, przed rokiem był ozdobą *Tygodnika illustrowanego.* Gdzież tu mówić o sumienności bezstronnéj u nas krytyki.

— Panu **A. Z.** z *Warszawy.* Rzeczywiście, przez przeoczenie Redakcji: wiadomości „Osobliwsze cudo natury" i „Czego miłość niedokaże"—raz już pomieszczone w Nr. 16-m *Opiekuna Domowego*, powtórnie w ostatnich Numerach zamieszczone zostały. Jest to prosta pomyłka, która na przyszłość miejsca już mięć nie będzie.

Wydawca, Mieczyński Adam. — Дозволено Цензурою, 18 (30) Октября 1870 г. — **Redaktor**, Stanisławski Oskar.

Drukiem Jana Psurskiego, ulica Niecała Nr. 12 nowy.